

ROZDZIAŁ 11.

Stuhlbrestenburg

Gęsto zabudowane miasto Stuhlbrestenburg zawdzięczało swój osobliwy wygląd dowcipnemu kaprysowi Waltera Drugiego, owego wesołego króla, na którego rządy przypadł wielki pożar, który zniszczył niemal całe miasto. Kiedy zabierano się do jego ponownej odbudowy, stary król wpadł na najdziwaczniejszy pomysł swojego życia. Wyobraził on sobie, że będzie czymś niezwykle zabawnym, jeśli nie usunie się zachowanych najczęściej do wysokości pierwszego piętra masywnych resztek murów, lecz na nich, jakby na parterze, wzniesie się nowe domy w całkiem innym, lżejszym stylu architektonicznym, tak iż będzie wyraźnie widać, że każdy dom składa się ze starej i nowej części. Ponadto, aby jeszcze bardziej podkreślić tę różnicę, miało zakazać tynkowania czerniawych starych części, natomiast nowe nadbudowy miały mieć białą lub różową barwę.

Nie bacząc na opór poważnej części mieszkańców miasta, Walter Drugi po długich dyskusjach wykonał swą wolę. Pierwsze kondygnacje powstałego z ruin miasta, błyszcząc jak uprzednio niskimi, małymi oknami, wspierały się ciężko i ponuro na ziemi,

na nich zaś wznosiły się jasne, delikatne i kruche, floresowate struktury o wysokich oknach.

We wszystkich tych domach znajdowały się obszerne piwnice, pod którymi ciągnęły się położone jeszcze głębiej, połączone ze sobą, częściowo zasypane sklepienia i korytarze pochodzące z tych czasów, kiedy Stuhlbrestenburg był jeszcze twierdzą.

Tam znajdowały swe kryjówki męty społeczne miasta. Wbrew wszelkim wysiłkom jeszcze nigdy nie udało się wpaść na ich trop. Co śmielsi policjanci, w nadziei na sowitą nagrodę, wdzielali się do tych pomieszczeń, wykorzystując nieliczne znane im przejścia. Tracili jednak orientację, natrafiali na zamurowane lub zasypane korytarze i po długim błędzeniu, nic nie wskórawszy, wycofywali się jak niepyszni.

Wskutek tego w Stuhlbrestenburgu w przerażającym stopniu wzrosło poczucie zagrożenia. Im bogatsze stawało się miasto, im bardziej się rozrastało, tym bardziej zaludniały się tajemnicze sklepienia. Zdawało się, że wręcz magiczną siłą przyciągały one przestępcze elementy całego kraju, które w stolicy znajdowały obfite żerowisko.

Przypuszczano, że uboższe warstwy ludności, które wszędzie zamieszkiwały stare partery domów, gdzie, ze względu na panujący w nich mrok i inne niewygody, nikt poza nimi nie chciał mieszkać, po kryjomu utrzymywały stosunki ze światem przestępczym i udzielały mu pomocy. Jednakże nikomu nie można było tego dowieść. Znamienne było tylko to, że w Stuhlbrestenburgu warstwy te zachowywały się wyzywająco i buntowniczo w stopniu większym niż gdzie indziej.

Być może jednak łączyło się to z całym charakterem miasta, który wyraźnie różnił się od charakteru innych miast w kraju. Stuhlbrestenburg leżał na rozległej, wilgotnej równinie pod niemal zawsze zachmurzonym niebem. W tej okolicy powietrze

miało w sobie coś dziwnie podniecającego i przygnębiającego zarazem. Ludzie żyli tu gwałtownie i pożądliwie, szybko się wypalając. Zarówno biedni, jak i bogaci byli pracowici i rozwiąźli. W żadnym innym mieście nie było tyle fabryk, kościołów i wszelkiego rodzaju miejsc rozrywki. Wszędzie było jakby parno i w jakiś sposób brudno. W mieszkaniach miało się uczucie, jakby nowe ściany ciągle wysysały ze starych podmurowań jadowitą wilgoć.

Od kilku dni w Stuhlbrestenburgu panował niepokój. Policji udało się aresztować jednego z przestępców przebywających w podziemnych kryjówkach. Schwytany, w zamian za wysoką nagrodę i zapewnienie całkowitej bezkarności, gotów był zdradzić wszystkie znane mu dojścia do sklepień, wzbraniał się jednak posłużyć policji za przewodnika, ponieważ obawiał się o swoje życie, gdyby jego dawniejsi kamraci mieli go zobaczyć wśród policjantów. Ostrzegł również urzędników, żeby nie wazyli się schodzić do podziemi, gdyż zabezpieczono się tam przed wszelkimi niespodziankami.

Władze zastanawiały się długo, co mają zrobić, albowiem chciały wreszcie położyć kres tym nieznośnym okolicznościom, które pracę obywateli miasta w coraz większym stopniu czyniły ryzykowną przygodą, zakłócały wszystkie ich przyzwyczajenia i poważnie zagrażały całej strukturze ich współżycia.

Po intensywnych naradach postanowiono obsadzić dojścia do podziemnych sklepień i przestępców zagłodzić. Wśród uboższej ludności zaczęło wrzeć. Bardziej niż kiedykolwiek władze były przekonane, że warstwa ta pozostaje w zмовie z przestępcami, zwłaszcza że kilka z ujawnionych dojść faktycznie znajdowało się w starych mieszkaniach na parterze. Zatem lokatorów aresztowano, a w ich domach przeprowadzono rewizję. Ale ta nie przyniosła żadnych rezultatów i ze względu na brak dowodów

musiano ich znowu wypuścić, wskutek czego hardość pozostałych przybrała jeszcze bardziej niepokojące formy. Sądono, że wszystkim tym przykrym zjawiskom da się za jednym zamachem położyć kres przez wygłodzenie „ludzi z podziemia”.

Jednakże właśnie w tych dniach z sąsiedniego okręgowego miasta Rattenhusen doniesiono o szeregu wydarzeń, które, rozdmuchane przez plotkę, jeszcze bardziej wzburzyły obywateli Stuhlbrestenburga i każały im niemal zapomnieć o swych własnych nieprzyjemnych sprawach.

Zaczął się od tego, że nauczyciel religii w rattenhuseńskim gimnazjum, Flamm – mały, przygarbiony mężczyzna o zaciętych rysach, znieawidzony przez uczniów z racji swego fanatyzmu i surowości – w samym środku lekcji nagle przerwał swój wykład, z przerażeniem wlepił oczy w jednego z uczniów, gwałtownie zerwał się ze swego miejsca, zwrócił się do ucznia nazywając go jakimś obcym imieniem, ukląkł przed nim i zaczął całować jego ręce żałośnie błagając go o wybaczenie. Zaskoczeni uczniowie poprosili dyrektora i Flamma zaprowadzono do pokoju nauczycielskiego, gdzie dopiero po kilku godzinach odzyskał rozsądek.

Najpierw odmówił jakichkolwiek wyjaśnień, w końcu jednak opowiedział, co następuje:

Było to przed dwudziestu laty, kiedy Flamm miał ucznia o wysmukłej postaci, dumnej, szczupłej twarzy i długich, kędzierzawych włosach. Uczeń ten wzbudził jego nienawiść. Był to chłopiec bardzo zdolny, ale nieposłuszny, ciągle obnosił się ze swoją pogodą ducha. Flamm próbował upokorzyć go na wszelkie możliwe sposoby, ale nadaremno. Zaczął go więc obserwować także poza szkołą i wkrótce stwierdził, że niekiedy spotykał się w pobliskich wsiach z obcymi, dziwacznie ubranymi chłopcami. Po takich spotkaniach zachowywał się w szkole szczególnie wyzywająco. Flamm udał się więc do ojca ucznia, opowiedział mu

o swych spostrzeżeniach, ostrzegł go przed złym towarzystwem, które w sposób rzeczywisty utwierdzały jego syna w nieposłuszeństwie. zaproponował, żeby młodzieńca oddać na pensję, którą prowadził, tak aby wzmocniony nadzór mógł wyrwać go spod owych złych wpływów – w przeciwnym bowiem razie chłopiec nieuchronnie zejdzie na manowce i nigdy nie stanie się pożytecznym członkiem społeczeństwa. Ojciec chłopca mimo pewnych wątpliwości zgodził się na propozycję. Kiedy jednak młodzieniec miał już przenieść się do domu nauczyciela, okazało się, że zniknął, zostawiając list. Z niejasnych aluzji w nim zawartych wynikało, że ma zamiar pozbawić się życia. Wszelkie poszukiwania zaginionego nie przyniosły rezultatu.

I oto ku swemu przerażeniu – opowiadał dalej Flamm – przed kilkoma godzinami zauważył, jak twarz ucznia nazwiskiem Ranke, który siedział w pierwszej ławce, stopniowo zmieniała się w oblicze owego chłopca zaginionego od dwudziestu lat. Zrazu przemianie uległy tylko oczy. Oczy Rankego były łagodne i brązowe, naraz jednak zmieniły się w uparte szare oczy zaginionego, a po kilku chwilach Ranke przyjął całą jego postać.

– Byłem tak przerażony – kontynuował Flamm wśród łkań – że nie mogłem ruszyć ani ręką, ani nogą. Po dwudziestu latach, proszę tylko pomyśleć, po dwudziestu latach! Co za nikczemość! Co za złośliwość! On przecież nie żyje! A mimo to tam siedział i patrzył na mnie, nieruchomo i nieprzerwanie, jakbym to ja był winien jego śmierci. Sam już nie wiem, co się ze mną stało. Coś kazało mi wstać i paść przed nim na kolana, żeby prosić go o wybaczenie. W przeciwnym razie by mnie zabił. Nie mogłem znieść jego spojrzenia.

Kilku starszych kolegów Flamma faktycznie przypomniało sobie owo zagadkowe zaginięcie. Wszyscy jednak byli bardzo zdumieni, że Flamm, który ich zdaniem postąpił wówczas całkowicie

słusznie, teraz, po dwudziestu latach, zupełnie przestał nad sobą panować. Albowiem jego opowieść uznano za szalone pomysły obłąkanego.

Posłano kogoś po Rankego. Chciano pokazać go Flammowi, aby mógł się przekonać o własnym błędzie. Jednak posłany woźny wrócił bez ucznia i zameldował, że leży on w łóżku i dziś w ogóle nie był w szkole.

Zdumienie nauczycieli sięgnęło szczytu. To był absurd: sami widzieli Rankego w klasie i z nim rozmawiali, inni uczniowie byli przy tym obecni. Zasięgnięto informacji w domach uczniów, dowiedziano się jednak, że większość z nich – o dziwo – nie wróciła ze szkoły; pozostali potwierdzili, że Ranke brał udział w lekcjach. Teraz dyrektor odwiedził Rankego osobiście i znalazł go leżącego z wysoką gorączką. Jego rodzice zapewnili go, że był chory już poprzedniego wieczoru. Dyrektor był bezradny.

Następnego ranka przeszło połowa klasy nie pojawiła się na lekcjach. Natychmiastowe śledztwo wykazało, że uczniowie również na noc nie wrócili do swych domów. Zaalarmowano policję. Wszczęto poszukiwania w całym kraju. Nadaremnie. Nikogo nie znaleziono. Nigdzie nie dowiedziano się, co się z nimi stało.

Dzień później zaczęto mówić o jeszcze bardziej niesłychanym wydarzeniu. Znany dyrektor rattenhuseńskiego towarzystwa dyskontowego, Klemens Rotbuch, dziwak o nieco kobiecym wyglądzie i osobliwych estetycznych i teozoficznych skłonnościach, udał się do banku w porze obiadu, pod nieobecność personelu, i z okna pierwszego piętra, z miłym uśmiechem, wszystkie znajdujące się w banku pieniądze zaczął wyrzucać na przepelniony o tej porze plac targowy. Publiczność, która rzuciła się chwytając spadające z góry banknoty stu- i tysiąctalarowe, popadła w tak nieopisane upojenie, że doszło do dzikiej bijatyki. Z prawdziwym żalem mówiono o dwóch zabitych i wielu ciężko rannych.

Klemensa Rotbucha zatrzymano i umieszczono w zakładzie dla obłąkanych. Kiedy przyszedł już do siebie i można go było przesłuchać, oświadczył, że tamtego dnia przed południem przyszło doń dwóch chłopców w skórzanych czapkach w kształcie hełmów i z podniesionymi kołnierzami płaszczy, surowo nakazując mu wykonać to, co później uczynił. Teraz jest dla niego całkowicie niepojęte, jak doszło do tego, że był im posłuszny; działał jakby pod przymusem i nie panował nad sobą.

Lekarze uznali, że wszystko to pozwala stwierdzić, iż Klemens Rotbuch, którego już od dawna uważano za ciężko chorego nerwowo, teraz ostatecznie padł ofiarą obłądu. Ale wkrótce ze wszystkich części miasta nadeszły wieści, że pojawili się tam tacy chłopcy i wielu mieszkańców skłonili do najbardziej nieprawdopodobnych czynów. Wszyscy namówieni, jak się zdawało, czuli się wobec nich całkowicie bezbronni i bez sprzeciwu spełniali to, czego tamci żądali.

Nie dość na tym: tego samego dnia znaleziono otwarte bramy miejscowego więzienia. Strażnicy leżeli związani i zakneblowani w kurniku, a dyrektor więzienia w pełnym uniformie siedział w kucki na grzędzie i uderzał ramionami niby skrzydłami, piejąc głośno i przejmująco. Wszyscy więźniowie uciekli. Przypuszczano, że przedostali się do Stuhlbrestenburga i ukryli się wśród „ludzi z podziemia”.

„Wydarzenia te – pisał »Goniec Rattenhuseński« w artykule wstępnym – możemy tłumaczyć jedynie jako rodzaj masowej psychozy. W przeciwnym razie byłoby niemożliwe, żeby banda niesfornych wyrostków, którzy niewątpliwie należą do proletariackiej młodzieży zatrutej lekturą Sherlocka Holmesa, Karola Marksa i Aleksandra Dumasa, w przebraniu mistycznych wysłanników była w stanie nakłonić obywateli do postępów, które wręcz sztydzą ze wszelkiej moralności i obyczajów. Ale jest to skutkiem

owego pośpiechu i manii nowatorstwa, które należą do napędowych sił naszych czasów. To, co jeszcze wczoraj wydawało się cudem, dziś stało się rzeczą codzienną, tak że nawet najbardziej trzeźwi ludzie często nie potrafią już odróżnić niemożliwego od możliwego. W tych burzliwych czasach, w których wszystko jest postawione na głowie, naszym czcigodnym współobywatelom możemy jedynie poradzić, żeby rzeczy niewiarygodne dopiero wtedy uznali za wiarygodne, kiedy zostaną potwierdzone urzędowo. Musimy codziennie uczyć się na nowo, dlatego też potrzebujemy silnej podpory. A stałym oparciem w potoku wydarzeń ciągle pozostaje jedynie sankcja urzędowa. *Sigillum signum veri*. A naszym wysokim władzom zalecamy najusilniej ściagać owych złoczyńców, żeby nie spowodowali jeszcze większego nieszczęścia, nie wywołali jeszcze więcej zamieszania. *Caveant consules!*”.

Tyle artykuł wstępny. Ale w felietonie zamieszczonym w tej samej gazecie radca sanitarny, profesor doktor Albrecht Hinkeldey, rozwodził się na temat istoty masowych psychoz, ostrzegał przed przepracowaniem, namiętymi dociekaniem i jałowym fantazjowaniem oraz zalecał, by przed pójściem spać moczyć nogi w zimnej wodzie, a po wstaniu ze snu całe ciało nacierać wilgotną szmatką.

ROZDZIAŁ 12.

Kozioł w kościele

S tuhlbrestenburski sędzia okręgowy, Knud Ahlbeck, dopiero co skończył emocjonującą lekturę obu tych artykułów z „Gońca Rattenhuseńskiego”, wziął jeszcze jeden łyk kawy i właśnie chciał pożegnać się z żoną przed udaniem się do sądu, kiedy zameldowano mu przybycie nauczyciela Flamma, z którym był zaprzyjaźniony od niemal czterdziestu lat.

Widok katechety przeraził go. Flamm już wchodząc do salonu zaczął płakać i nie mógł wykrztusić ani słowa. Ahlbeck współczująco potrząsnął jego ręką i poprosił go, żeby usiadł. Pani Ahlbeck naleła mu filiżankę kawy i położyła wielki kawał ciasta na talerzyku.

Flamm siedział skulony w wielkim fotelu, na przemian żując ciasto i szlochając.

– Całkiem mąci mi się w głowie – zaczął w końcu. – Nie wiem, od czego mam zacząć. Co za nieszczęście! Co za hańba! Pomyśl tylko, po dwudziestu latach! Usunięto mnie z urzędu, wyrzucono na ulicę! Co mam teraz robić?

– Ale cóż się właściwie stało, stary przyjacielu? – zapytał Ahlbeck. – W gazetach nie znajduję żadnego wyjaśnienia. Same

tam dziwactwa i brednie. Ty przy tym byłeś. Opowiadaj więc! O co chodzi?

Ale Flamm ciągle jeszcze nie potrafił powiedzieć nic sensownego i wykrzykiwał tylko raz po raz: – Co za hańba! Co za hańba!

– Opowiadaj wreszcie! – naglił Ahlbeck.

– Nic nie wiem... – wyjąkał z trudem Flamm i zaczął znowu płakać. – Ciągle jeszcze nie mogę przyjść do siebie... Bez pracy!... Wyrzucony!... Nikt nie chce mnie znać... Ty jesteś jedyny, który mnie przyjął...

– Ale, ale – przerwał mu Ahlbeck – nie jest na pewno aż tak źle. Przecież masz jeszcze swoją pensję. A poza tym wszyscy żywo interesują się twoim losem, możesz być tego pewien!

– A w czym mi to pomoże? Wszyscy uważają, że zwariowałem. Wszystkich, którym w tych dniach wydarzyło się coś podobnego, uważa się za wariatów. Zwolniono mnie z pracy. Uchodzę tu za człowieka niebezpiecznego, ja, który przez całe życie zachęcałem młodzież do karności, pokory i oddania...

Flamm unosił się coraz bardziej i ze wzburzenia drżał na całym ciele.

– Ale Bóg nie da drwić z siebie – ciągnął kłótliwie – ci zaślepieni zobaczą jeszcze, co stracili w mojej osobie. To jest piekielny spisek. Moje miękkie serce i wrażliwe sumienie kazały mi przedwczoraj posunąć się aż do tak dwuznacznego kroku. A teraz – zwolniono mnie! Za tym wszystkim coś się kryje, Ahlbeck, mówię ci, coś się za tym kryje. I to zwraca się nie tylko przeciw mnie, ale także przeciw wam, to zwraca się przeciw wszystkim, przeciw państwu, religii, moralności. To jest spisek, spisek! A ty musisz mi pomóc go zdemaskować!

– Ależ mój drogi, nie rozumiem, skąd się wzięły twoje awanturnicze urojenia – odparł Ahlbeck ze zdziwieniem. – Co ma wspólnego twoja osobliwa wizja z fantastycznym przypuszcze-

niem o istnieniu jakiegoś spisku? Odkąd to spiskowcy są w stanie rzucać czary? Jesteś przepracowany, rozdrażniony. Twoje nerwy splątały ci figla. Teraz musisz odpocząć, a my zrobimy porządek z tą całą sprawą!

Flamm aż podskoczył z oburzenia.

– Co? – zawołał. – Rozdrażniony? Wizja? Nerwy? A jak wytłumaczysz wszystko inne, co? Zniknięcie uczniów? Chorobę Rankego? Historię z Klemensem Rotbuchem? Otwarte bramy więzienia? Piejącego dyrektora? Ja ci powiem, co to jest. To jest początek końca, przewrót, ruina! I jeśli nie będzie się w porę interweniować, to wszystko będzie zgubione!

Ahlbeck zaskoczony spojrział na niego i rzekł:

– Czy to wszystko wydarzyło się naprawdę?

– Wszystko – odparł Flamm żarliwie – wszystko! I jeszcze więcej! Nie wiecie jeszcze, co od trzech dni dzieje się w Rattenhusen. Ludzie boją się mówić o swoich przeżyciach, bo nie chcą się ośmieszyć. Być może także wmawiają sobie, że nic się nie stało, bo nie mają ochoty postradać rozumu. Ale to wszystko jest prawdą! Przysięgam! Ahlbeck, człowieku, bracie – wszystko się rozpada, wszystko!

Tu do rozmowy wmieszała się pani Ahlbeck.

– Knud! – zawołała z triumfem. – Czy nie widzisz? Mówiłam ci, ale ty uważasz wszystko za przesady i babskie gadanie. Kto ma teraz słusność? A mój sen sprzed dwóch dni? Co teraz powiesz?

– Zostaw mnie w spokoju! – ryknął Ahlbeck z wściekłością. – Aż mi huczy w głowie od tego wszystkiego. A potem jeszcze mam przez cały dzień odgrywać sędziego, i to właśnie dziś, w tym wielkim procesie... Tego nie można pominąć mimo całego wzburzenia. Trzeba to spokojnie przemyśleć. A ty, Flamm, nie powinienes mówić takich głupstw o przewrocie, końcu i upadku. Tak daleko

jeszcze nie zaszliśmy. Masz na myśli „ludzi z podziemia”? Z tymi damy sobie radę, gdyby nawet cała hołota miała się z nami sprzymierzyć. To my jesteśmy panami! My stworzyliśmy kulturę tego kraju – i potrafimy ją obronić! Być może za całą sprawą rzeczywiście kryje się jakiś przestępczy spisek, ale może też da się ją stosunkowo rozsądnie wyjaśnić... Przewrót? Nie ma żadnego przewrotu! Jak ludzie od dawna żyli, tak też będą żyć dalej. Cóż to za obłąkane wyrażenia! ... No już, uspokój się. Mam jeszcze godzinę, zanim będę musiał pójść do sądu. Usiądziemy sobie w jakiejś winiarni i spokojnie wszystko omówimy.

Poszli.

Kiedy mijali półotwarte drzwi katedry, zatrzymali się w zdumieniu. Z wnętrza katedry dobiegły ich odgłosy muzyki. Ogromny chór odśpiewał jakąś radosną i triumfującą pieśń.

– Znowu coś takiego! – rzekł Flamm z kwaśną miną. – Nowy duch! Z kościoła robią teatr!

– Jak pięknie śpiewają – przerwał mu Ahlbeck, który był wielkim melomanem. – Jeszcze nigdy nie słyszałem tak pięknego śpiewu. Posłuchajmy ich choćby przez chwilę!

Kiedy weszli do kościoła, ze zdumieniem ujrzeli, że był już pełen ludzi. Śpiew, jak się zdaje, przyciągnął wielu przechodniów. Ale ani Ahlbeck, ani Flamm nie mieli pojęcia, z jakiej przychyny odbywał się ten poranny koncert.

Wtedy Ahlbeck zauważył stojącego nieopodal prokuratora Johannsena. Położył rękę na jego ramieniu i Johannsen odwrócił się i wyszeptał ze zdumieniem:

– Cóż to, pan także tutaj? Co się tu dzieje? Nie słyszałem, żeby zapowiadano na dzisiaj jakąś kościelną ceremonię. Przechodząc obok usłyszałem śpiew i wszedłem...

– Tak samo było i ze mną. Ale co to znaczy? – odparł Ahlbeck równie cicho.

– Niech pan tylko posłucha, co to za muzyka – powiedział Johannsen. – Przecież to nie są pieśni kościelne! Raczej świeckie, nieprawdaż? Ale mimo to wydaje się, że będzie odprawione nabożeństwo: na ołtarzu płoną świece.

Pieśń, która rozbrzmiewała w całym kościele, przybierała coraz bardziej ogniste tempo, podniosła się buntowniczo i podniecająco, jakby z szalonej żądz, by przejść w namiętą muzykę taneczną.

Słuchacze stali jak zaczarowani. Wydawało się, że zapomnieli, gdzie się znajdują. Ich twarze błyszcząły niczym w gorączce. Oddychali ciężko. Kilku ludzi co pewien czas wydawało z siebie jęki, które brzmiały jak tłumiony, lubieżny śmiech. Co chwila drżenie ogarniało ich ciała, zaczęli poruszać się rytmicznie.

Śpiew stawał się coraz bardziej niesamowity. Już dołączało do niego bicie w bębny. Rozbrzmiewały szalone pasaże skrzypcowe. Dźwięki trąb wprawiały ludzi w upojenie i odbierały oddech. A kiedy także organy odezwały się podziemnymi grzmotami, ludzie stracili panowanie nad sobą.

Nieprzytomnie rzucili się sobie w ramiona i, krzycząc i tupiąc, zaczęli tańczyć. Ahlbeck i Johannsen podskakiwali jak kozy i z kilkoma przekupkami ruszyli w niezgrabny korowód. Ahlbeck ryczał grzmiącym głosem:

– Ho – hopp! – hopp!

Johannsen wykrzykiwał głosem komendy:

– *Changez les dames! Changez les dames!*

A Flamm skamlał wśród płacznego śmiechu:

– Ruina! Upadek! Hurra! Hurra! Hurra! Albowiem Twoje jest Królestwo i moc, i chwała, na wieki wieków, amen.

I na swych chudych nogach skakał coraz to wyżej i wyżej.

Koncert zakończyło potężne „Alleluja”.

W tej chwili ujrzano sędziwego radcę konsystorsialnego Piste-ruisa, w pełnym ornacie wstępującego na kazalnicę. Wszystko nagle umilkło. Wtedy Flamm chwycił kurczowo za ramię sędziego i wyskrzecztał:

– Znowu tu są! Znowu tu są!

– Kto? Co? – zapytał sędzia i rozejrzał się na wszystkie strony.

– Oczy! Oczy ucznia! Radca konsystorsialny! On jest tutaj! Przyszędł tu po mnie! Na Boga, co mam robić? Gdzie się schować? Pomocy! Łaski! Łaski!

Jęcząc, upadł na kolana. Otaczający go zmieszali się. Jeden po drugim z łekiem klękali również. Wzburzenie ogarniało cały tłum. Po kilku minutach klęczeli i łamiąc ręce jęczeli:

– Łaski! Łaski!

Z kazalnicy rozbrzmiał głośny śmiech, który zdawał się nie mieć końca. Pełne, czerwone oblicze radcy stawało się coraz cięższe i bledsze. Jego małe, czarne oczka powiększyły się, nabrały szarego blasku i nieugiętego wyrazu. Przez chwilę wyglądał jak młokos. Ale i ta postać przekształciła się w inną: na kazalnicy stał, wsparty kosmatymi nogami o klęcznik, śnieżnobiały koziół i beczał głośno i przejmująco.

Obecni nie wiedzieli, co począć. Wszystkich oblał zimny pot. Ludzie bili czołami o posadzkę i jęczeli:

– Łaski! Łaski!

Johannsen był w stanie tylko bełkotać zbiegającymi wargami:

– *Quousq̄ tandem Catlina? Quousq̄ tandem Catlina?*

Ahlbeck poczerwieniał z wściekłości. Wyciągnąwszy ramiona, zagrzmał ponad głowami innych:

– Wytrzymajcie! Wytrzymajcie!

Ale nikt go nie słuchał. Ostrzej, przeraźliwiej, coraz błagalniej rozbrzmiewało wołanie o łaskę. Tylko Flamm stał z twarzą wy-

krzywioną wściekłością i zaciśniętymi pięściami. Był znowu sobą. Jego głos wznosił się przejmująco nad lamentem:

– Tako rzecze prorok: Biada ohydnemu, plugawemu, tyrańskiemu miastu. Nie chce być posłuszne, ani dać się skarcić. Jakże mogło stać się tak obrzydliwe, że mieszkają w nim zwierzęta! A kto je mija, fuka na nie i macha na nie ręką!

Na usta wystąpiła mu piana, a białka oczu w ekstazie zwróciły się ku niebu.

Z chóru wychyliły się doń setki chłopców, bijąc mu brawo i śmiejąc się, tak że ich śmiech zagłuszył szalony bełkot, wołania i jęki płynące z dołu. Z góry zaś zaczęły spadać ogromne ogniste róże, rozsiewając oszałamiającą woń. Ciżba oddychała z trudem.

Wtedy od ołtarza dobiegła łagodna melodia pasterska. Na stopniach ołtarza siedział nagi młodzieniec i grał na flecie. Zdumienie ogarnęło obecnych. I już chłopcy z chóru jako kudłate psy rozbiegli się i poszczekując zaczęli gonić tłum po całym kościele.

Przerażeni ludzie chcieli uciekać. Ale drzwi katedry były zamknięte i zaryglowane. Coraz więcej psów warcząc rzucało się na ludzi. Ścigani rzucali się na posadzkę, próbowali się ratować wskakując na ławki, wspinali się na okna, wpadali na siebie, upadali, podnosili się, załamywali ręce, chwyтали powietrze i rzęzili.

Nagle flet zamilkł. Młodzieniec, psy, róże – wszystko zniknęło. Ludzie spoglądali na siebie w osłupieniu. Bramy kościoła stały szeroko otwarte.

Nikt nie ośmielił się powiedzieć słowa. Ludzie powoli zwrócili się do wyjścia i skuleni, nie patrząc na siebie, wymykali się na ulicę.